Raj: Miłość - czyli nie ma takiego raju i nie ma miłości

Pamiętam, w latach 80. przeczytałam reportaż o seksturystyce kobiet do Kenii. Było to w piśmie "Brigitte", niemieckim [1], dla kobiet, to też pamiętam. I pamiętam, że pomyślałam sobie to samo, co w trakcie czytania (głośnej wtedy, bo świeżej) biografii Simone de Beauvoir [2], która w latach 30. domagała się w ramach emancypacji prawa kobiet do służby wojskowej. Mój feminizm wyskoczył wtedy z siebie i stanął obok. I zapytał: a dlaczego nie odwrotnie? Dlaczego nie zawalczyć o prawo dla mężczyzn do odmówienia służby wojskowej?

Dlaczego to my, kobiety, uważamy, że wszystko co robią mężczyźni jest przywilejem, którego im mamy zazdrościć? A może czasami bywa odwrotnie? Oni robią coś, co naśladowania nie jest godne? Tak właśnie jest z seksturystyką białych mężczyzn do krajów Azji Południowo-Wschodniej, a konkretniej Tajlandii i Filipin, bo o tych krajach dotkniętych plagą płacących za seks mężczyzn z zachodnich - cywilizowańszych (?) - części świata wtedy się słyszało.

A tu doszła Kenia i seksturystyka "naszych" kobiet. Wtedy mówiło się o Niemkach i Austriaczkach... Szwajcarkach... być może były wśród nich Angielki, Szwedki...? O tym, że też Polki, czytałam już w nowym stuleciu w którymś z polskich kobiecych pism, może w Wysokich Obcasach?...

Wczoraj widziałam w filmie, jak się ta sprawa przedstawia niejako naocznie. W ciągu pół wieku nastąpiły więc istotne zmiany społeczne, mamy wojska zawodowe, kto chce, ten idzie na wojnę, jeśli kobieta chce, też może. Mamy też seksturystykę obu płci, a jakże, choć ta kobieca jest zapewne (jednak) mniej masowa. Nie znam statystyk, mówię na podstawie tego, co samo do mnie dotarło, a nie świadomych dociekań.

Są pieniądze, jest zapotrzebowanie, są i ludzie wychodzący mu naprzeciw. Nic to, że w Azji wciąga się w ten "przemysł" dzieci, nic, że w Afryce szaleje AIDS, nic, że od czasu do czasu jakieś biuro turystyczne zbyt jawnie oferujące sekswycieczki popada w (przejściowe) kłopoty (pamiętam skandal, gdy okazało się, że największe biuro turystyczne Szwajcarii miało w pakiecie przelot, hotel i odpowiedni kontakt).

Jest popyt, jest i tego popytu zaspokojenie. Nędzę tego zjawiska pokazał film "Raj: Miłość". (reż. Ulrich Seidl). Bardzo dobry film, bo choć pozornie niewiele się w nim dzieje, dużo się dzieje w sferze pokazującej o co chodzi. Co jest potrzebne do tego, żeby seksturystyka kwitła? Względne bogactwo i zdecydowane ubóstwo uczuciowe w jednym końcu świata, bieda w drugim, oraz cynizm tych, którzy ubijają na tym interes, na organizowaniu łączenia tych światów ze sobą.

Światów na styku niższych warstw społecznych kapitalizmu, niższych, bo umówmy się, seksturystykę uprawiają głównie ci, o których mówi się "stonka turystyczna", to nie są krezusi (co nie znaczy, że ci nie mają swoich możliwości sięgania po oferty z tej dziedziny, tyle że z półki luksusowej, mniej masowej).

https://www.youtube.com/watch?v=NaMw3e7fEV4

Bohaterka filmu ma swoje ułożone życie w porządnie urządzonym kraju, czyli zwyczajną pracę, która ani daje ani nie daje zadowolenia, ważne, że jest, bo daje płatny urlop i niewielką nadwyżkę na wykupienie oferty biura podróży do taniego egzotycznego kraju, w reklamie nazywa się go "rajem". Sama wychowuje córkę, zresztą już dorosłą, tyle że przy mamie, bo któż-by ją oprał, zapłacił za smartfona i dał pokój za darmo? Gdzie jest ojciec, nie wiadomo, może ożenił się z 3x młodszą Tajką?

Ot, współczesny model rodziny, samotna matka, jedno uchowane dziecko, nieobecny ojciec. Ojciec, który może płodzi właśnie kolejne dziecko, bo ma przecież swoje potrzeby seksualne. Ona, matka dorosłej córki, a więc w

wieku babci, też ma, a jakże. W końcu wszystko dokoła mówi jej, że to wręcz jej obowiązek. Nie wolno jej się zestarzeć, zbabcieć, bo skurczyłaby się grupa docelowa, seks to najskuteczniejszy reklamowy wabik.

Ale o ile na początku tropikalnych ferii chodzi jeszcze o jakieś nikłe uczucia (bo jakież inne, gdy porozumienie opiera się na znajomości trzech wyrażeń na krzyż, *jambo* (cześć), *hakuna matata* (nie ma problemu) i *Geld*, czyli - po niemiecku - pieniądze, miejscowy żigolak mówi przecież po niemiecku, dostosowuje się do wymogów rynku), o tyle w ciągu krótkich wakacji nastąpi przyśpieszona ewolucja, czyli dostosowanie wymagań do warunków: miejscowi mężczyźni używani są jak przedmioty, żywe wibratory. I zresztą odpowiednio wyglądają, zwłaszcza przy dobrze odżywionych Austriaczkach: chudziutcy, malutcy, drobniutcy, chciałoby się rzec, kieszonkowi, podręczni, do szufladki, do toreki… I tylko z rzadka protestujący, nie, tego nie zrobią, nie przełamią się (to resztki różnic kulturowych).

Film kończy się zastanawiająco, ostatnią scenę odczytuję symbolicznie, starzejąca się biała Europejka odchodzi w prawą stronę ekranu, zachodzącą, młodzi czarni ludzie Afryki w tanecznych figurach znikają z lewej strony, wschodzącej. Te dwa różne światy rozdzielają się jak dwa niełączące się ze sobą płyny, woda i olej, zbełtane razem i tak się nie zmieszają.

I moja własna osobista puenta: miłość może się zdarzyć i w domu starców, nawet nad grobem (jak słyszałam i w co wierzę), z seksu w starszym wieku lepiej wcześniej niż później zrezygnować [3], można sobie oszczędzić nieestetycznych wspomnień zachowując w pamięci te warte wspomnień przeżycia, a pieniądze wydawać na rozrywkę intelektualną, na którą nigdy nie jest się za starym, a która, w przeciwieństwie do starczego seksu, uszlachetnia. Ta wspaniała przygoda, jaką jest używanie własnej głowy, dostarcza niejednego orgazmu, na to mogę przysiąc.